

Nietykalny



STEFAN GRABIŃSKI

NIESAMOWITA OPOWIEŚĆ

Nietykalny

(WYJĄTKI Z PAMIĘTNIAKA A. KROŃTY)

Obraził mnie. Znieważył dotkliwie, niesłusznie, zaocznie. Dopiero wczoraj, po powrocie z paromiesięcznej podróży, dowiedziałem się o tym od osób trzecich. To przecież nędznie!

Dlaczego to uczynił? Przecież nigdy mu się w niczym nie naraziłem. Czyżby z kaprysu lub z zawiści?...

Zawiści?... Wątpię. Kazimierz Kański jest indywidualnością zbyt silną i oryginalną, by mógł mi zazdrościć. Zresztą czego właściwie? Sławy?... Jego własna, choć niepodsykana coraz to nowymi wysiłkami twórczej pracy, starczy mu na całe życie. Od paru lat, jakby znudzony poklaskiem, cofnął się w zacisze domowe i przestał entuzjasmować tłumy nieporównaną grą aktora w wielkim stylu. Mówiono — Kański wyczerpał się.

Płytko, głupia błaga! Kański nie chciał więcej tworzyć. Kański zamknął swą wielką sztukę w sobie, bo tak mu się podobało. *Car tel est notre beau plaisir*¹ — panowie i panie! O tak!

Choć jeden z nas wzniosł się ponad nieukojoną żądzę wypowiedzenia się i rósł, piękniał w sobie poza widownią świata. — Choć raz piękno okazało się bezwzględnie bezinteresowne.

Bo nie wierzę w tzw. wyjałowienie, w zanik źródła natchnienia itp. płytkie, nader płytkie sposoby tłumaczenia pewnych zjawisk w życiu twórczych osobników, jak też i nigdy nie przystane na zdanie, jakoby śmierć wyjątkowych jednostek przychodziła w porę, gdy już nic by wartościowego stworzyć więcej nie mogły. Nie godzę się na to fatalistyczne zacieśnianie bujności i przepychu życia; owszem, wierzę najgłębiej w tragiczne jego przecięcie u geniuszy w pełni ich rozkwitu, w ten kaprys wszechistnienia, co z wspaniałym lekceważeniem zatapia całe skarby uczuć, myśli i natchnień w jakąś ciemną otchłań, bo czuje swą moc i siłę, bo wie, że w każdej chwili zdoła wyłonić z siebie jeszcze cudniejszą, jeszcze kosztowniejszą perłę. O tak! Życie jest rozruttne i bujne! Ileż świetnych pomysłów, ileż prometeicznych tragedii zstąpiło bez możliwości objawienia się wraz z twórcami swymi do grobu, ile ich lęgnie się i rozgrywa w duszach tych, co „tworzyć przestali lub nigdy nie tworzyli”. To nie „improduktywi”, „impotenci” etc. O, nie! To jedna z metod twórczych, jedna z nieprzelicznych kombinacji i możliwości życia. Ci ludzie tworzą przez sam fakt swego istnienia; przez to samo, że są, że istnieją, pomnażają iściznę ducha, myśli, sztuki. To wielkość milczenia — duma bezcielesnej treści.

Nie — Kański nie wyrządził mi krzywdy z zawiści. Więc — kaprys. „Mężczyzn należy traktować z pogardą — kobiety z lekceważeniem”. Być może Kański miał w sobie dużo z markiza de Priola².

Lecz mimo uwielbienia, jakie mam do dziś dnia dla jego geniuszu, deptać się nie pozwolę. Dziś jeszcze zażądam od niego zadośćuczynienia i zemszczę się.

¹*car tel est notre beau plaisir* (fr.) — albowiem takie jest nasze upodobanie (kaprys). Zmieniona zgodnie z popularną interpretacją formuła używana przez królów Francji przy zatwierdzaniu aktów prawnych: *car tel est notre (bon) plaisir*: albowiem taka jest nasza (dobra) wola. [przypis edytorski]

²*markiz de Priola* — tytułowy bohater sztuki Henriego Lavedana (1859–1940) z roku 1902: wytworny bywalec salonów. Od polskiej premiery 3 marca 1903 była to jedna z popisowych ról wybitnego aktora Kazimierza Kamińskiego (1865–1928). [przypis edytorski]

Zobaczę, jak wyglądać będzie w tej aferze mleczny brat hrabiego des Esseintes³ — tylko z bez porównania tęższą głową. Musi się to stać dzisiaj — koniecznie dzisiaj. Nie zniosę dłużej tego stanu rzeczy. Czy też przyjmie me wezwanie z równie wybornym gestem, z jakim załatwiał podobne sprawy wśród blasku kinkietów, na oczach tysięcy wpatrzonych weń widzów podczas tych paru godzin scenicznej złudy? Czy też aktor powstydzi się człowieka? Czy zachowa niepokalaną linię stylu?... Nie wiem. Dziś się dowiem. Idę go wyzwąć...

A tam, w rogu bajecznie stylowego salonu stał w czerwonych blaskach żarówki On, cynicznie uśmiechnięty, dziwnie piękny i gibkością miedzianego ciała kuszący Mefisto⁴. Przeięty wstecz, przechylił głowę na ramię i śmiał się — jak już od wieków się śmieje — mądry, rozumny Szatan.

I wszystkie te rażąco blade, spalone gorączką pożądań ciała kobiet z obrazów, wszystkie te złotowłose hetery⁵ z oczyma o ciepłym, wilgotnym połysku, wszystkie te drażniaco chłodne, z wyniosłą pozą *dogarezy*⁶, których tyle spoglądało z oprawy ram, zdały się instynktownie zwracać w tamtą, jedną stronę: ku Niemu.

Bo On był duszą tego miejsca, tętnicą, w której zbiegały się wszystkie arterie wnętrza...

Z przyległego pokoju wyszedł Kazimierz Kański i z wyciągniętą dłonią postąpił ku mnie parę kroków. Lecz zachowanie się moje ostrzegło go natychmiast. I znalazł się w sytuacji. Spojrzenie moje na moment jakby ocuciło w nim pamięć dawnej postawy, którą zwykł był przyjmować względem ludzi. I raz jeszcze ostatni zablęśla mu w oku owa wspaniała ironia lekceważenia, i raz jeszcze podniosła się ręka do owego gestu, co wytworności pełen streszczał w sobie całą gamę uczuć i myśli chwili. Lecz wnet cofnął się w siebie, przypomniał sobie *znać*⁷ coś ważnego i przybrał szczególny wyraz twarzy, który mnie od razu dziwnie zastanowił.

Oparłszy się ręką na postumencie boskiej Afrodyty Kallipygos⁸, wskazał mi uprzejmie, lubo⁹ z odcieniem jakby roztargnienia, jeden z foteli.

Wprawdzie nie miałem zupełnie zamiaru dłużej tu zabawić i w paru słowach chciałem załatwić sprawę, przecież w ruchu tym było tyle prestidigitatorskiej¹⁰ siły i wdzięku, że mimo woli uległem czarowi tego gestu i usiadłem. Uczynił to samo, niemal automatycznie, głęboko nad czymś zamyślony, jakby zapominając o mojej obecności. Dotąd nie zamieniliśmy ani słowa i żaden z nas nie spieszył się przerywać przykrego milczenia, on widać czymś innym pochłonięty, ja — rzecz dziwna — onieśmielony zmianą w wyrazie jego twarzy i obejściu. Zaręczam, że gdyby mnie był w dalszym ciągu przyjmował jednym z tych swoich zabójczo chłodnych uśmieszków, które tak umieją przyprawiać o wściekłość, natychmiast byłbym mu przeszkodził i wprost wyjawiał cel mego przybycia. Lecz to, co zastałem, było dla mnie czymś tak niespodziewanym, tak zdumiewającym, że niemal zapomniałem urazy i zacząłem doznawać gorącej chęci wykrycia przyczyny. Psycholog wziął górę nad obrażonym mężczyzną. Zresztą mógł to być jego chwilowy tylko nastrój wywołany nieznanym mi powodem. Musiał to być jednak powód ważny, jeśli zaniechał zwykłego traktowania ludzi, z którymi się poróżnił. Ów bowiem przelotny błysk dostrzeżony w jego oczach przekonał mnie, że od razu poznał, po co przyszedłem. A przecież nie wszedł czy nie chciał wejść w rolę, którą w takich razach z zasady odgrywał: nie wszedł

³*hrabia des Esseintes* — główny bohater powieści Joris-Karla Huysmansa *A rebours* (*Na wspak*, 1884): ekscentryk i esteta, wzorcowy dekadent. Powieść zyskała szerszy rozgłos, kiedy w 1895 podczas procesu przeciwko Oscarowi Wilde'owi, oskarżyciel odwołał się do niej jako przykładu literatury „sodomicznej”. [przypis edytorski]

⁴*Mefisto* a. *Mefistofeles* — imię diabła często pojawiające się w literaturze, m.in. w *Fauście* Goethego. [przypis edytorski]

⁵*hetera* (gr. *ἑταίρα*: towarzysza) — kurtyzana w staroż. Grecji; heterami były niezależne społecznie, wykształcone kobiety o wysokiej kulturze. [przypis edytorski]

⁶*dogarezza*, właśc. *dogaressa* (wl.) — małżonka doży, najwyższego urzędnika Republiki Weneckiej. [przypis edytorski]

⁷*znać* (daw., jako przysłówek) — widocznie, najwyraźniej, zapewne. [przypis edytorski]

⁸*Afrodyta Kallipygos* (gr.) — Afrodyta o pięknych pośladkach, rzymska rzeźba marmurowa z I–II w., uważana za kopię wcześniejszego greckiego oryginału, przedstawiająca boginię miłości unoszącą szaty i spoglądającą przez ramię na swoje nagie pośladki. [przypis edytorski]

⁹*lubo* (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

¹⁰*prestidigitator* — sztukmistrz, iluzjonista. [przypis edytorski]

mi drwiąco na spotkanie. Miałaby mnie do tego stopnia lekceważyć, że nie zadawał sobie nawet trudu poigrania ze mną? Wątpię. Wyglądał raczej na mocno roztargnionego, jakby zaprzątnięty pewną upartą myślą.

Lecz nie tylko prosta ciekawość odwróciła mą chęć zemsty na inne tory. Przyłączył się i motyw wtórny, dla mnie na razie ciemny i prawie nieświadomiony. Ten jednak wywiązał się dobitniej dopiero później, w ciągu rozmowy.

Nie zauważywszy prawie, że przez to odsuwam cel wizyty na plan dalszy i że mogę przedstawić mu się w dziwnym świetle, przerwałem milczenie niespodziewaną uwagą:

— Panie Kański! Pan wydaje mi się zupełnie odwartościowany.

Na dźwięk mych słów nie zwrócił prawie żadnej uwagi, ciągle zapatrzony gdzieś w dal przed siebie. Dopiero po chwili z widocznym trudem usiłował je powtórzyć sobie w myśli, odtwarzając słuchowo dla dania odpowiedzi. Sens ich po rozwadze zrobił nań pewne wrażenie, bo spojrzął ze skupioną wyraźnie na mnie uwagą:

— Być może... Z wszelką pewnością — tak. Sam to odczuwam.

Mówił tym samym aksamitnym, zmatowanym głosem, który tak zachwycał kobiety. Głos ten przez dziwaczne skojarzenie nasuwa mi zawsze porównanie z miękkim, wypłowiłym pluszem; taki cichy, jedwabisty, na starych obiciach salonu, głuszący echa plusz...

Wysłuchany w wibracje tego głosu nie rozumiałem prawie treści słów, rozkoszując się ich fizycznym urokiem.

Po daniu mi tej pierwszej odpowiedzi Kański jakby ocknął się z czegoś i zaczął mi się przypatrywać z pewnym zdumieniem. Widać było, że nie mógł w żaden sposób dociec związku między mą uwagą a celem wizyty. Ja tymczasem podtrzymywałem temat:

— Rzekłbym, że przerwała się nić harmonii między panem a jego otoczeniem. Ten pokój i pan, panie Kański, w tej chwili przynajmniej — to dysonans. Pan się zupełnie odstylizował!

Uśmiechnął się blado:

— A może tylko przestylizował?

— Przenigdy. To gruba pomyłka, to błąd psychologiczny: tacy ludzie jak pan nie zwykli, nie mogą przeistaczać się. Mogą tylko oszaleć lub ulec świadomemu sobie kaprysowi.

— Tak pan myśli? Czy to aksjomat? — Gdzie kryteria? Bywają wyjątkowe wypadki...

Przerwał w środku frazy z zagadkowym błyskiem w oczach. Rozmowa znać trafiła w ton, na jaki był od dawna nastrojony.

— Nie ma żadnych wypadków. Jestem prawie pewny, że dzisiejsze usposobienie — to poza; jedna postawa więcej, którą podobało się panu przyjąć wobec mnie.

Czułem, że jestem nieszczerzy, że zmianom zaszłym w Kańskim w rzeczywistości przypisuję głębsze powody i trwalszy skutek: lecz umyślnie występowałem kategorycznie, by go podrażnić i zmusić do wyznań.

— Chce pan kryteriów, dowodów? — mówiłem, patrząc mu bystro w oczy. — Owszem! A pański markiz de Priola. Czyż nie stylowy do końca?

— Tak — odpowiedział, mieniając się na twarzy. — Ale tylko do chwili, w której pada porażony atakiem. Tego, jakim był później przez resztę życia, nie wiemy — dramat o tym milczy. I przyznam się panu, musi milczeć. Prawdopodobnie markiz de Priola z tej drugiej epoki swego życia wcale nie byłby zajmujący; Lavedan¹¹ zrozumiał to doskonale i w samą porę zapuścił zasłonę.

— Wątpię bardzo.

Kański zachnął się:

— Dlaczego? Po tym nieszczęściu, po tym straszliwym ataku... — wykrztusił z wysiłkiem. Ręce mu drgały, po twarzy przebiegały nerwowe skurcze, a w oczach świtał obłęd. Mimo woli cofnąłem się. On oparł się z całej siły o brzeg gerydonu¹² i dyszał ciężko. W którejś chwili nerwowy napad wzmógł się; oczy wystąpiły mu z orbit i dzikie konwulsje skręciły całą prawą stronę ciała. Wyglądał okropnie. Chciałem już biec po lekarza

¹¹Lavedan, Henri (1859–1940) — francuski dramaturg, autor m.in. sztuki *Markiz de Priola* (1902). [przypis edytorski]

¹²gerydon (z fr.) — niewielki okrągły stolik o jednej nodze. [przypis edytorski]

i wezwać pomocy, lecz na szczęście powoli uspokoił się. Otarł chusteczką pot z czoła, otworzył okno i usiadł naprzeciw, wdychając wieczorne powietrze. Przypatrywałem mu się w milczeniu. Przekonałem się naocznie, że głuche wieści o jego chorobie nie były przesadzone, owszem, raczej mówiły za mało. Ten atak, ta zmiana w obejściu się Kańskiego i coś więcej, coś niewytłumaczonego, nieodgadnionego kazało mi do reszty porzucić zamiar dochodzenia mej obrazy. Cała ta sprawa wydała mi się teraz wobec tego, co ujrzałem, wobec tego czegoś nieokreślonego, co przed zwykłym okiem nieuchwytnym całunem okrywało osobę Kańskiego, czymś tak błahym, tak nieskończenie drugorzędnym, że wprost wstydzilem się sam przed sobą. Tego człowieka zrobiło owo coś nietykalnym. Lecz co? Czyżby ów atak, choroba? Nie — na pewno nie. To było coś innego, coś bardziej ważkiego. Jakaś dostojność, powaga, jakaś świętość niemal zdawała się ukrywać poza przypadkowością wymienionych przez niego ze mną słów. To coś tkwiło w nim ciągle i toczyło bój ze świętokradzkim otoczeniem. Wyczuwałem to coraz wyraźniej, gdy wpatrzony w ogród odpoczywał z brudną zamyślenia na czole. Był znów podobny do tego z początku rozmowy.

Zacząłem go przeproszać za mój nierozważny sprzeciw, którym przyczyniłem się do wywołania ataku. Potrząsnął głową i zapewnił mnie, że nic nie winien:

— Pan sądzi, że gdyby nie ta drobna sprzeczka między nami, byłoby to minęło? Myli się pan gruntownie. Miewam teraz podobne napady co parę godzin. Lekarze robią mi piękne nadzieje, że przerwy między jednym a drugim z wolna się zacieśnia i zwężą do odstępu dwóch, potem jednej godziny... Potem zostanie mi tylko pół godziny, kwadrans, aż nastąpi... Pan rozumie, co to znaczy?

— To straszne — szepnąłem, opuszczając głowę.

— Prawda, że straszne? To, panie, oszaleć można przed czasem. Patrząc na zegarek, ile jeszcze minut brakuje do nowej męczarni, widzieć, jak znów przekłeta wskazówka zbliża się do fatalnej godziny... Patrz pan! Kazałem wszystkie zegarki usunąć! Nie ma tu ani jednego! Wyrugowałem czas z mego domu. Lecz cóż? Środek okazał się podły¹³. Ja czas w sobie noszę, ja już wszystko wiem z góry na godziny, minuty... Tak, tak — bywają wypadki...

Odszedł od okna i usiadł pod kominkiem. Wieczne cienie pełzały po stropie i posadzce, podlizując mu stopy. Patrzył na nie ponuro i mówił monotonna przed siebie, jak w malignie¹⁴:

— Nawiedza mnie od pewnego czasu dziwna kochanka, by koić chwile strasznej mej samotności. Jest cicha i łagodna; ręce jej liliowe chłodzą mi czoło. Przychodzi wieczorami o tej porze. Twarz zasłania białą chustą. Przy pożegnaniu odwraca się ku wyjściu, zdziera z twarzy chustę i rzuca w moją stronę. Chusta rośnie, rozwija się, poszerza, oplątuje mi nogi, obala na ziemię i przykrywa mnie oślepiąco białym całunem. Zrywam się, szarpnię go, drę w kawały, pruję... nadaremnie. Skądś ze stropu obsuwają się z szelestem coraz nowsze sinoblade giezła¹⁵ i przytłaczają mnie ku ziemi swymi warstwami. Słyszysz pan ich łopot w tej chwili, czujesz tę woń, tę świeżą woń białego całunu? Okrutne wiejadła!...

Przystąpiłem ku niemu.

— Uspokój się pan, na miłość boską, uspokój! Powinien pan stanowczo stąd wyjechać. Tu dom nie dla pana; zbyt ponuro nastraja. Panu trzeba słońca i dużo zieleni. Wyjedź pan na południe.

Kański jakby nie słuchał. Zanurzył rękę w stosie tulipanów porzrzucanych obficie na stole. Były białe i czerwone; osobno, w subtelnie cyzelowanej wazie z Pompei¹⁶ białeł bujny pęk tych kwiatów wiecznej zadumy.

Chcąc odwrócić uwagę jego od rozpaczliwych myśli, pochyliłem się nad bukietem, niby podziwiając jego gustowny układ. Spostrzegłszy to, chwycił mnie za ramię i silnie odepchnął:

— To kwiaty od niej... przepraszam... ale nie wolno się panu do nich zbliżać.

¹³podły — tu: marny, lichy. [przypis edytorski]

¹⁴maligna — wysoka gorączka połączona z majaczeniami. [przypis edytorski]

¹⁵giezło (daw.) — długa, luźna koszula lniana; także: koszula do trumny lub prześcieradło do okrywania zmarłego. [przypis edytorski]

¹⁶Pompeje — miasto rzymskie zasypane pyłem wulkanicznym w czasie wybuchu Wezuwiusza w 79 r. n.e. [przypis edytorski]

Posłuszny, choć zdumiony, odsunąłem się od wazy.

Kański wciąż wodził palcami po rozsianych przed nim na stole kwiatach i uśmiechał się bezbarwnie. Nagle wybrał dwa z nich: czerwony i biały, i zwracając całkiem już przytomne oczy na mnie, rzekł cicho:

— Miałbym do pana jedną wielką prośbę. Może wyda się ona kaprysem obłąkanego lub czymś podobnym, lecz cóż to panu szkodzi?

— Proszę bardzo. Zaciekawia mnie pan. Co ja mogę zrobić dla pana?

— Drobnostka. Proszę sobie wybrać jeden z tych kwiatów.

Spojrzałem nań podejrzliwie:

— Istotnie dziwna prośba. Mam wybrać?

Na twarzy Kańskiego poprzez uśmiech przeglądało natężone oczekiwanie. Wybrałem czerwony.

Uśmiechnął się.

— Całkiem dobrze. Przecucie pana nie zawiodło. Przecież w życiu nie zawsze wszystko dzieje się bez sensu. Więc czerwony tulipan dla pana. Mnie został biały.

Zebrał resztę czerwonych kwiatów, związał zręcznie złotą taśmą i wręczył mi jednym z tych swoich bajecznie wytwornych ruchów, które mu pozostały, zda się, jako jedyna spuścizna po przeszłości.

— Dziękuję — rzekłem, przyjmując bukiet.

Głęboko wzruszony powstałem. Kański uczynił to samo. Podszedł do mnie z jakimś niezwykle dobrym uśmiechem, jakiego dotychczas nigdy u niego nie widziałem.

— Czy mi pan wybaczy? Obraziłem go — szczerze tego żałuję — widzi pan, powódzenie tak czasem ludzi zaślepia... nie doceniłem pana, a raczej przeceniłem siebie... Był pan dziś tak subtelnie wrażliwy na to, co się tu wkoło mnie dzieje — a dzieją się dziwne rzeczy!...

Błysnął dziko oczyma.

— I nie poruszyłeś pan ani słowem tej sprawy. Za to dziękuję... bardzo, bardzo dziękuję. Czy może mi pan przebaczyć?

Wyciągnął nieśmiało rękę. Chwyciłem ją mocno, serdecznie. Upadł mi w ramiona. Dumny byłem, czując go na piersiach. Wyprostował się.

— Jeszcze raz dziękuję. I jeszcze jedna, wielka prośba. Czy można?

— Wszystko.

— Prawdopodobnie, idąc za radą pańską, wyjadę stąd wkrótce. Może dziś jeszcze. Tak — dziś w nocy, stanowczo. Błagam pana, proszę zajrzeć tu, do mego mieszkania dziś koło dziewiątej. Prawdopodobnie mnie już tu pan nie zastanie... Wyjadę... Drzwi będą otwarte. Tu, na biurku zostanie list... rzeczy ważne... Być może nieprędko wrócę, a przyjaciół nie mam... Nikogo, nikogo... Zaklinam pana — zajmiesz się tą sprawą?

Patrzyłem mu bystro w oczy. Unikały mego spojrzenia, błakając się po ścianach. Wreszcie odpowiedziałem:

— Dobrze. Ręczę słowem — będę. Żegnaj mi, Kański... ja cię zawsze uwielbiałem. Żegnaj, wielki artysto!

Szybko wyszedłem. Był już wieczór. Tam w górze wspinały się wygięte łukiem linie latarni i zwierały się u szczytu. W dali szemrało miasto, dzwoniły tramwaje, dudniły dorożki. Z okien naprzeciwległego szpitala spadały w ulicę pomosty światła i wiązały wielkie, męcząco jasne sale z brukiem.

By nie oddalać się zbyt od mieszkania Kańskiego, zaszedłem do sąsiedniego ogrodu i usiadłem na ławce w pasie elektrycznego światła. Ostrożnie złożyłem przed sobą na kamiennym stole wiązkę tulipanów i zacząłem je podziwiać. Istotnie, Kański nie kupował byle jakich kwiatów. Te, które miałem przed sobą, należały do rzadkiego, pełnego rafinady gatunku: były wytworem pielęgnacji ogrodniczej o przedziwnym unerwieniu płatków: delikatne, pajęczce żyłki biegnęły od nasady kielicha ku obwodowi, rozgałęziając się po drodze ognistą pulsacją krwi. By je orzeźwić, podszedłem do fontanny dżdżączcej cicho o parę kroków ode mnie i zwiliłem bukiet. Sperlone kwiaty połyskiwały pod światło jak brylanty.

Tak celowo zajmowałem swą uwagę, by nie myśleć nad tym, co mnie od końca rozmowy z nim dręczyło. Lecz nie zdołałem usnąć w sobie nerwowego niepokoju. Czas dłużył

Kwiaty

mi się okropnie i nie mogąc doczekać się godziny dziewiątej, przemierzałem niespokojnymi krokami cały ogród wszczep i wzdłuż, raz po raz spoglądając na zegarek. Wreszcie wybiła.

W kilka chwil byłem z powrotem u drzwi Kańskiego. Zastałem je rzeczywiście otwarte. Z wnętrza biła oślepiająca jasność. Wszedłem do salonu. Cały skrzył się od światła żyrandoli, lamp i żarówek. Przystanąłem oślepiony, osłaniając dłonią oczy. Po chwili, oswoiwszy się z orgią blasków, podniosłem je i spojrzałem dokoła: Kańskiego tu nie było. Wzrok mój padł na list na biurku. Był zaadresowany do mnie. Pismo zachwiane:

„Drogi mój!

Wybacz raz jeszcze... i tamto, i to, co zastałeś. Wierz mi, na honor, nie z Twojej to winy. Przypadek chciał, że przyszedłeś do mnie właśnie tego dnia, w którym postanowiłem nieodwołalnie... Nie mogłem inaczej, wszak wiesz, co się już ze mną działo... — W szufladzie, na prawo, mój testament i papiery. Oddaj pod adresem na kopercie... Te kwiaty — to mój kaprys — mój ostatni kaprys... Chciałem wypróbować życie, czy pokieruje należycie Twoim wyborem... Jakoś pokierowało trafnie. Przysięgam na naszą wielką Sztukę — to nie był żaden amerykański pojedyk...”

Nie dokończył. Ręka znać odmówiła posłuszeństwa...

Wpadłem do sąsiedniego pokoju. Na otomianie ujrzałem go w postawie półleżącej. W ręce zwisłej bezwładnie ku posadzce trzymał rewolwer. Na skroni prawej parę kropel krwi...

Przyłożyłem mu na chwilę rękę do serca. Nie biło.

Ten piękny człowiek nie żył.

Duszno i głucho. W sąsiedniej salce zgiełk światła, rozpiętanie białych, rozzarzonych blasków... Tylko tam w rogu krwawi żyrandol. Lecz szatan pod jego baldachimem już się nie śmieje. Na pochylonym nisko jego czole dwie bolesne, grube bruzdy...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-nietykalny>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Nowele*, Wyd. Literackie, Kraków 1980

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).